

Chińskie więzienia nie mają ścian – cz. 4

23 sierpnia 2008

WIĘZIENIA BEZ ŚCIAN – 2

* * *

Siedzieliśmy z moją asystentką Lin i jej chłopakiem, Woodrowem, w restauracji Qu Cha Qu nad ryżem z duszoną oberżyną i rozmawialiśmy o różnych zupełnie nieważnych sprawach.

– Śniło mi się, że... Na pewno chcesz wiedzieć?

– Mów co chcesz, to tylko sen.

– Śniło mi się, że miałaś męża, chyba Japończyka, a może Chińczyka. No, w każdym razie bez przerwy cię bił. Chcieliśmy cię z Lin uratować, ale kiedy cię znaleźliśmy, było już za późno.

– To znaczy, zabił mnie?

– Uhm.

– No, to mam nadzieję, że twoje sny się nie sprawdzają. – odparłam ze śmiechem i momentalnie zapomniałam o całej sprawie, ale kilka dni później zdarzyło się coś, co mi o śnie Woodrowa przypomniało.

Sam przyjechał do Wenzhou, by pomóc mi kupić prezent dla Marie. Wydaliśmy 400 juanów na karnet w studio masażu i poszliśmy na makaron do Yoshimi.

– Wiesz, co zdarzyło się tydzień temu w moim mieście?

– Nie wiem.

W Rui'an z natury rzeczy niewiele się działo. Sam pokręcił głową z poważną miną. Przerwałam jedzenie. Sam rzadko bywał tak poważny.

– Moja nauczycielka ze szkoły średniej, piękna kobieta, została zamordowana przez swojego męża. Jej mąż ma dużo znajomych w policji i władzach, pewnie też przekupił kogo trzeba, więc policja stwierdziła po śledztwie, że kobieta popełniła samobójstwo. Wszyscy w Rui'an wiedzą jednak, że to nieprawda. Przede wszystkim jej rodzina wie, że to nieprawda. I wiesz, co się stało? Ludzie wyszli na ulice i poszli pod budynek rządowy. Jak to się nazywa?

– Demonstracja??? – zdziwiłam się, bo takie spontaniczne demonstracje były w Chinach nielegalne.

– Tak, właśnie. Oczywiście zjawiała się policja z pałkami, granatami i gazem łzawiącym i po godzinie po demonstracji nie było śladu. Prawdopodobnie zabili kilka osób. Wszyscy o tym mówią, tu w Wenzhou też. Oczywiście w gazecie o tym nie przeczytasz. Ludzie wrzucali informacje na blogi, albo rozmawiali o tym przez Internet, policja próbowała wyśledzić ich po IP, jak jej się udało, to zostawali aresztowani.

– Często się dzieją takie rzeczy?

– Podejrzewam, że tak. Wystarczy pojechać do innego miasta i pogadać z ludźmi, którzy nie pracują dla rządu. Było co. podobnego koło Urumqi w Xinjiang. Tak mnie to wkurza, że... Ech, szkoda gadać. Gdybym tylko mógł coś zrobić. Wysłałam SMS-a do Lin parę dni potem. Odpowiedziała: Wiem o całej sprawie z gazet. Czytałam, że mąż ją pobił, a potem zamordował. Podziałało, pomyślałam. Zadziwiające w całej historii było nie to, że mąż zamordował żonę. Zadziwiające były nasze – obcokrajowców, odczucia, nasze zaskoczenie. Czuliśmy się w Chinach bezpiecznie, choć byliśmy świadomi niesprawiedliwości, do których dochodzi, wierzyliśmy, iż są jakieś ich granice i że są one uzasadnione, choćby i błędnie pojmowanym dobrem

ogólnym. Innym zaskoczeniem, pozytywnym, był fakt, iż pozornie bierni i pogodzeni z losem ludzie – zadziałali. Otwarcie się zbuntowali, sami wyznaczyli granice. Władze zrozumiały. Miesiąc później, czytając o Rewolucji Kulturalnej w autobusie do słynącej z palm kokosowych Sanyi, zdałam sobie sprawę z tego, jak wielka przepaść musi istnieć pomiędzy ludźmi, którzy pamiętają lata siedemdziesiąte, a młodzieżą. Dla tych pierwszych XXI wiek był otwarciem bramy więzienia, ci drudzy zdają sobie sprawę z tego, że zostali zaledwie wypuszczeni na spacer.

* * *

Lin wyglądała, jakby coś ją trapiło. Pomyślałam, że powie prędzej czy później, więc czekałam cierpliwie.

– Dziewczyna mojego brata choruje na raka. Leczy się od jakiegoś czasu, miała ciężką operację, ale dochodzi do siebie. Zanim zachorowała, planowali z moim bratem ślub, ale teraz to jest zupełnie niemożliwe...

– Dlaczego?

– Bo ona najprawdopodobniej nie będzie mogła mieć dzieci. Moi rodzice chcą mieć wnuka, a ona nie może im go dać, więc nie zgadzają się na ślub.

– Czyli twoi rodzice chcą, żeby twój brat ją opuścił teraz, kiedy jest chora i potrzebuje wsparcia? No... a twój brat? Co on na to?

– Nie wiem. Pewnie będzie im posłuszny... Widzisz, to jest wie., ludzie są bardzo przywiązani do tradycji. Gdyby mężczyzna poślubił kobietę, wiedząc że ona nie może dać mu dzieci, stałby się pośmiewiskiem – odpowiedziała, jakby starając się sobie samej jakoś to wytłumaczyć. – Nie mogę się z tym pogodzić! Nie rozumiem ich, wiem, że to moja własna rodzina, ale nigdy się z nimi nie zgodzę! Jak mogą tkwić w takiej ciemności? Wiesz, że moja kuzynka miała chyba z pięć aborcji,

tak bardzo chciała mieć syna? Wszystkie jej ciążę to były dziewczynki.

– Myślałam, że lekarzom nie wolno rozmawiać o płci dziecka.

– To prawda, ale lekarzy można przekupić. Po piątej aborcji lekarz powiedział jej, że czas z tym skończyć, bo może nigdy więcej nie zajść w ciążę. No i teraz ma córkę. Wiesz o tym, że rząd zezwala na drugie dziecko rodzinom mieszkającym na wsi, jeśli pierwsze dziecko to dziewczynka? Tak jakby córka była w jakiś sposób wybrukowana. Kiedy byłam dzieckiem, widziałam na mojej wyspie domy, zniszczone przez rząd.

– Domy – zniszczone przez rząd?

– Tak, domy tych, którzy wbrew przepisom mieli kolejne dziecko. Czasem ludzie uciekali w góry, ukrywali się, żeby tylko móc doczekać się syna. To jest chore... Rząd wywiesza transparenty, mające przekonać ludzi, że córki nie są gorsze od synów, ale po wsiach ludzie wiedzą swoje. Propaganda jest tylko propagandą.

Do tematu jej brata i jego dziewczyny wróciłyśmy dopiero kilka miesięcy później.

– Dziewczyna mojego brata jest w ciąży.

– To dobrze! Więc jednak może mieć dzieci – odparłam, wyczuwając szczęśliwe zakończenie całej sprawy. Mój błąd.

– Jest jeszcze zbyt słaba, żeby mieć dziecko. Poza tym mój brat z nią zerwał. A ona jedzie do Szanghaju na aborcję.

– Zerwał z nią? Dlaczego?

– Bo jest tchórzem, dlatego. Żał mi go. Jeśli zostanie na tej wyspie, będzie musiał mieć syna, bo inaczej straci szacunek ludzi i zawiedzie rodziców.

Autor: Vanda Zakrzewska

Źródło: [„Ulica Wszystkich Świętych” nr 6 \(102\) 2008](#)